

## Fragment opowiadania „Milonga del Angel” z książki „Spotkania” Justyny Reczeniedi

### III. Nareszcie zmysły – Sex-tet

Po opuszczeniu Tonacji krążyłam jeszcze po słabo oświetlonych uliczkach Zakopanego z obłędem w oku i dojmującym smutkiem w piersi. Nie byłam w stanie tak po prostu wrócić do domu i potożyć się do łóżka. Postanowiłam pójść na spacer „gdzie mnie oczy poniosą”, tym bardziej że noc zapowiadała się na ciepłą i bezdeszczową.

To nie był smutek, z jakim trudno sobie poradzić. Był naturalną kolejną rzeczą, konsekwencją zakończenia mojej artystycznej historii, która akurat w tym momencie, jak mi się zdawało, dobiegła końca. Rozumiałam to od początku i liczyłam się z ewentualnym finiszem w każdej niemal chwili.

A jednak trzeba przyznać, że radziłam sobie z tym nastrojem w miarę przyzwoicie. Było mi prawie dobrze w tę pogodną noc, kiedy tak przechadzałam się po wyludnionych Krupówkach, nie mając żadnych zmartwień ani problemów. Wpadłam w zadumę, jakiej nie doświadczyłam od dawna; to nie była tęsknota czy pustka, którą czułam po wyjeździe Ryszarda za pierwszym razem, ale z a d u m a, nieszkodliwa melancholia, uodparniająca na wszelkie bodźce z zewnątrz. Nic mnie już specjalnie nie obchodziło.

Kiedy tak w uroczym otępieniu kroczyłam pod górę główną ulicą miasta, mijając kolorowe wystawy, liczne restauracje, kawiarnie i puby, w których siedzieli rozradowani klienci, natknęłam się nagle na znaną skądinąd twarz. Tego człowieka kojarzyłam od kilku dni z widzenia

i uśmiechu; twarz należała do miłego „chłopaka”, często pozdrawiającego mnie z daleka, o którym przelotnie wspomniałam. (Napisałam w cudzysłowie, ponieważ, jak miało się później okazać, ów „chłopak” był grubo po czterdzieście. Jak to ludzie robią, że w tym wieku udaje im się zachować młodociany wygląd? Nie mam pojęcia.).

– Dobry wieczór – przywitał się, wyrwawszy mnie z bezmyślnego transu.

Natychmiast dał się wychwycić miękki wschodni akcent.

– O – stwierdziłam w przelocie. – Ukraina górą w tym sezonie.

W sumie nie wiem, dlaczego tak pomyślałam; nie miałam najmniejszej ochoty na zawieranie jakichkolwiek znajomości.

– Co też pani tu robi sama o tej porze? – zagadnął życzliwie. – Dokąd pani idzie? Niech zgadnę: na dyskotekę – nie, do kawiarni, odwiedzić znajomych... Ma tu pani znajomych, prawda?

– Yhym. Tak... – skłamałam. – Właściwie wizytę w kawiarni mam już za sobą. Spaceruję. Lubię samotność – odpowiedziałam.

– Tylko że z tą samotnością nie należy przesadzać – odparł sentencjonalnie.

Spojrzałam na niego. „Skąd on wie, że ja w tej dziedzinie potrafię przesadzać?”.

– Towarzystwo ludzi mnie męczy. Gram na skrzypcach i widzę wokół tyle buractwa...

– Widzi pani..., a ja muszę to jeszcze narysować!

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Chce pani karykaturę? – spytał nieoczekiwanie.

Wtedy sobie uświadomiłam, że stoimy na miejscu zaklepanym przez malarzy; zobaczyłam sztalugi, a na nich reprezentacyjne prace karykaturzysty.

„A zatem artysta” – pomyślałam.

Podziękowawszy za karykaturę (po co się dodatkowo wpędzać w kompleksy), wyraziłam ubolewanie, że jego zawód polega na rysowaniu ludzkich twarzy na Krupówkach (to musi być bardzo nieciekawe), po czym zaczęłam się zbierać do odejścia.

– Miłego wieczoru pani!

– Dobranoc.

I pożegnaliśmy się, przekazując sobie nawzajem po jednym czarującym uśmiechu.

Nazajutrz rano działy się ze mną nieopisane rzeczy. Moja „nieszkodliwa”, jak sądziłam, melancholia przerodziła się w klasyczną chandrę, może nawet w początek depresji, którą potęgowała fatalna aura. Na

próżno usiłowałam przypomnieć sobie widok Tatr, które teraz zasnuwały chmurami, deszczem i mgłą.

„Musisz coś postanowić w swojej sprawie, Tatiano. Robi się niebezpiecznie” – myślałam, kompletnie przygnębiona. To dziwne, że do tej pory ani razu nie zapłakałam, a teraz łzy same cisnęły mi się do oczu. Prawdę mówiąc, ryczałam jak bóbr, siedząc samotnie w pokoiku z widokiem na Giewont, który na próżno usiłowałam dojrzeć. Znowu katowałam się słuchaniem arii Kleopatry – Giusto ciel, io morirò. Przesmutny kawałek.

„Uspokój się, nie płacz, bo będziesz brzydka” – zawyrokowałam rozsądnie, przystępując do sporządzenia delikatnej tapety. Na jakiś czas poskutkowało.

Wyszłam na balkon. Krajobraz tonął w strugach deszczu. Westchnęłam do Boga. Modlitwa była teraz czymś, czego pragnęłam najmocniej:

„Ukochany Boże, dziękuję Ci z całego serca za wszystko, co otrzymałam tu w związku z moimi marzeniami. Jestem nawet zadowolona, że stało się tak, jak się stało; tylko, że teraz czuję się do tego stopnia tragicznie, że nie wiem, co ze sobą zrobić...!”

Wstuchałam się w deszcz. Pójście na Krupówki ze skrzypcami w celu zabicia czasu i chandry oraz zarobienia pieniędzy było pomysłem niedorzecznym. Jednak nauczona doświadczeniem wiedziałam, że jeśli przyjdzie mi znienacka do głowy myśl, która mnie choć trochę rajcuje, to choćby była obiektywnie najbardziej absurdalna, nie spocznę, dopóki nie zacznę jej realizować. Postanowiłam wyruszyć na Krupówki, starając się nie zwracać specjalnej uwagi, że w dalszym ciągu prerażam leje.

Zamarzył mi się facet. Jako ciało do przytulenia. Żeby mnie objął lub pogłaskał. Żeby był ktoś silniejszy ode mnie. „Jeszcze silniejszy? Niemożliwe!” – żartowałam w myślach. A jednak przyszła „krysa” i na tę odporną, niezniszczalną, jak się wydawało, kobietę. Jakże mocno potrzebowałam teraz wsparcia! Tymczasem nie było nikogo, kto mógłby się mną zająć. Przyjęłam to jako następną „naturalną” kolej rzeczy i na swój sposób pogodzona z losem wreszcie wyszłam z domu.

To był dość pracowity, miły dzień, nieobfitujący w żadne mocne wrażenia. Miałam wreszcie swój spokój, swoje bogactwo („Jest o czym myśleć” – jak zwykły mawiać Ryszard). Tylko na dnie serca kłębił się jakiś rozdzierający żal.

„Nie mogę być dziś wieczór sama – postanowiłam po przeanalizowaniu aktualnego stanu ducha. – Tylko jak do tego, cholera, nie dopuścić?” – pytałam retorycznie.

Okazja nadarzyła się sama, gdy już właściwie zrezygnowałam z planów na wieczór, przygotowawszy się na rychłe pójście do łóżka, jeśli

oczywiście udałoby mi się wcześniej stoczyć zwycięską walkę ze łzami i chandrą. Otóż kiedy grałam ostatni utwór, podszedł do mnie malarz karykaturzysta (miał wspomnienie ubiegłego wieczoru) i rzekł prosto z mostu:

– Zapraszam panią na kawę do najbardziej obleśnej knajpy w tym mieście.

Nie, to było znakomite! „Zapewne taka gadka w większości przypadków przynosi efekt – pomyślałam. – Ale taką szczerość, taką fantazję warto nagrodzić, nawet jeśli wszystkie inne to tykają. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zaszczycić go dziś wieczór swoim towarzystwem. Będzie mi zresztą bardzo miło. Zobaczymy, kto zacz. No i uporamy się z nadmiarem czasu!”

– Jak pani na imię?

– Tatiana.

– Sergiusz – przedstawił się grzecznie.

Perspektywa pójścia z przystojnym facetem do „najbardziej obleśnej knajpy w mieście” trochę mnie podbudowała. Na marginesie dodam, że takich propozycji miałam za każdym razem podczas grania zatrważające ilości. Czasem aż trudno mi było opędzić się od facetów; niektórzy byli beznadziejnie namolni, a niekiedy nawet natarczywi. Ale jakoś sobie radziłam. I zawsze odmawiałam. To nie byli ludzie godni zaufania.

W tym jednak przypadku nie miałam wątpliwości. Zresztą oferta Sergiusza została przedstawiona w sposób rozbijający. Wszystko wskazywało na to, że człowiek ma wyobraźnię i poczucie humoru. W razie czego po prostu wypiję kawę, posłucham lub nie, co mi tam będzie opowiadał, i pójdę sobie, a tymczasem wieczór minie niepostrzeżenie.

„Najbardziej obleśną knajpą” okazała się kawiarnia Tulipan, w rzeczy samej lokal na wskroś obrzydliwy. Nie chciałam tam wejść – nawet dla draki – i wybrałam Kakadu. Doszły mnie bowiem słuchy, że czasami Ryszard wraz z pozostałymi grywał w tym miejscu koncerty. Życzyłam sobie pooddychać jeszcze tą samą atmosferą, co on.

Wybór Kakadu okazał się odpowiedni. Co za szykowna knajpa! A do tego można sobie wyobrazić, jaki klimat nadają mu występy muzyków takiego kalibru, co Ryszard ze swoim zespołem.

Kawa, postawiona przez młodą kelnerkę na blacie wymyślnego stolika, przy którym siedziałam z Sergiuszem, była smaczna i fantazyjna: dwie wielgachne filiżanki, z których wyrastały kłęby białej, apetycznej piany. Na widok bitej śmietany Sergiusz zaczął protestować.

– Wiesz, nie lubię tego: tu – powiedział wyjaśniająco, wskazując na swoje jędrne, pełne usta.

„Oho, uważaj, Tatiana” – pomyślałam czujnie.

Mężczyzna zaczął się reklamować. Mówił tak wiele, że mój mózg z trudem nadążał za szybkością jego wypowiedzi. Wystarczyło zadać niewinne pytanie w rodzaju: „Czy chodzisz po górach?”, a już miał w gotowości nie tylko wyczerpującą odpowiedź, ale i całą teorię na ten temat. Było to szalenie interesujące, by nie powiedzieć fascynujące. Cóż, kiedy odczuwałam już zmęczenie intelektualno-emocjonalne. O zrobieniu na mnie wrażenia nie mogło być mowy. Poza tym miałam cały czas do dyspozycji „hamulce”, by w razie czego w odpowiedniej chwili powiedzieć sobie i swojemu towarzyszowi: „Stop. Dziękuję – to by było na tyle. Idę do domu”.

– Jeśli chodzi o góry, to wolalbym inny rodzaj śmierci. Natomiast istnieją rozmaite, równie zdrowe, a przy tym na pewno, moim zdaniem, przyjemniejsze rzeczy w życiu, które mogą przyczyniać się do polepszenia kondycji, na przykład – seks.

„No, ładnie – pomyślałam, usłyszawszy to słowo. – Niech jeszcze trochę pogada, bo mówi ciekawie, i spadam”.

Wtedy zapytał o mnie, o moje życie, zainteresowania, dążenia. No i zapaliłam się. Zaczęłam opowiadać Sergiuszowi o cudownej rzeczy, z jaką mam, Bogu dzięki, do czynienia na co dzień: o muzyce i skrzypcach, które studiuję w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Zaczęłam się rozwodzić nad tym, jak mi to bliskie, jak za tym tęsknię i jak to kocham; że już nie mogę się doczekać początku roku akademickiego, jak mocno pragnę teraz mieć lekcje i profesjonalnie pracować nad warsztatem. Tłumaczyłam mu, że skrzypce to mój ukochany instrument. „Grajkiem ulicznym” jestem tylko tu i teraz, właściwie jedynie podczas wakacji oraz na gdańskiej Starówce, gdzie króluję jako regionalna gwiazda sezonowa.

– Jesteś bardzo szczęśliwym człowiekiem – podsumował Sergiusz.

„Ma rację – pomyślałam – chyba nie znam większego szczęściarza”.

Powiedział, że miał kiedyś dziewczynę – skrzypaczkę, która była „fajna” bo „agresywna”, czyli miała w sobie coś drapieżnego, co bardzo podobało się Sergiuszowi.

„Agresywna? – pomyślałam – ciekawe pod jakim względem...”.

Z mężczyzny emanowała wszystkimi porami niespożyta energia, zmysłowość i witalizm. Chociaż mówił o Bogu, a jego prawą rękę zdobiła przykładowie obrączka ślubna, to widać było, że czerpie z życia wraz z wszelkimi jego „zawilgościami”. (...)